

oboja, mówi Kurskiemu: „Wielkość Jana nie pozostawiała wiele miejsca dla wielkości Wisi (...). Jedynym człowiekiem, który publicznie docenił konspiracyjne zasługi Wisi, był Jan Karcki. Pamiętam, prowadził jakies spotkanie, na które przyszli oboje. I wówczas Karcki powiedział, że zasługi »Grety« są równe zasługom Jana. Poprosił, by oboje wyszli na podium. To był jeden jedyny raz, kiedy Wisia została publicznie doceniona i uhonorowana».

Z cienia wydobyla ją dopiero śmierć. Myślę, że sam Nowak dopiero wtedy w pełni zdał sobie sprawę, kim była. Wkrótce potem odwiedziłem go w Anmandale. Był jakiś bezradny i bezbrzeżnie smutny, wciąż o niej mówił. Jarosław Kurski zanotował jego słowa: „To straszne uczucie. Można mieć wielu przyjaciół, ale każdy z nich ma przeciwie swoje życie, swoją rodzinę, swoje cele i nie jest im w pełni poddany. Ja jestem, mimo wszystko zawsze na tym drugim, trzecim czy czwartym planie. A co innego mieć obok siebie człowieka, który jest mi oddany w stu procentach i nie ma żadnych innych przedemną celów».

Bardziej niż słowa

Lubię wydawanie w formie książkowej tekstów ukazujących się wcześniej w periodykach. Żywo gazety jest krótki, tekstów szukam w internecie wtedy, kiedy ich do czegoś potrzebuję, książkę biorę do ręki także dla samej przyjemności. Cykl Janusza Ponińskiego „Gesty Jana Pawła II” ukazywał się na łamach „TP” od 1 maja do 13 listopada 2005. Teraz przybrał postać zgrabnej książeczki ozdobionej licznymi fotografiami.

Poniński doskonale pokazuje, co to znaczy, że „gesty to szczególny rodzaj komunikacji, specjalny »język«” i że „Jan Paweł II doszedł w nim do perfekcji”. Autor wyłowił z biografii zmarłego Papieża te momenty, w których Jan Paweł II przemawiał gestem, a nie słowem: postawa modlitewna, spojrzaniem, machnięciem ręką, uściskiem dłoni, pocałowaniem ziemi i tak dalej – gestami, które z reguły były znakiem czytelnym i w lot odczytywanym. Obserwacja ogromnie ważna w obrazie tamtego pontyfikatu. Spontaniczne z reguły zachowania zwykle bardziej zapadały w pamięć niż długie, starannie przygotowane przemówienia.

Niektóre opisane tu gesty nie były „wynalazkiem” Jana Pawła II, przejął je od poprzednika – Pawła VI. To arcybiskup Montini, przekraczając jako nowy arcybiskup Mediolanu granice swej diecezji, wysiadł z samochodu, ukląkł i ucałował ziemię (autostradę). Opisał to w „Tygodniku” książd Janusz St. Pasięb, dodając: „rzadko się widuje biskupów całujących ziemię”. Także życzenie, by podczas pogrzebowych ceremonii trumna stała na ziemi, pierwszy wyraził Paweł VI. Tak też było z trumną Jana Pawła I, co oczywiście w niczym nie umniejsza wymowy tego znaku.

Muszę też wnieść jedno ważne sprostowanie: kardynał Woj-

tyła się nie spóźniał (str. 98). Owszem, spóźniał się, poki przy nim nie było ks. Stanisława Dziwisza. Dziwisz jako sekretarz z całą surowością pilnował zachowania przewidzianego rozkładu. Tak czy inaczej, podczas lektury „Gestów” ożywa tamta obecność, a tym, którym było dane z bliska obserwować Jana Pawła II, przychodzi na pamięć inne jeszcze gesty, które także od zapamiętania ocalić by się chciało.

Wspomnę jeden. Było to w którymś z afrykańskich krajów, u wejścia do katedry czy może innego gmachu, nie pamiętam, w każdym razie na ogromnych, paradnych schodach. Jana Pawła II zgodnie z tradycją gościnniegości powitano naczyniem z wodą. Papież, jak tego wymaga rytuał powitalny, wodę bez chwili wahania wypił. Stojący za mną misionarz mrucnął: „jest aż gęsta od ameb i bakterii, to cud, jeśli się nie rozchoruje”. Włożenie na głowę zielonego pióropusza (zdjęcie na okładce książki) było spektakularnym gestem szacunku dla miejscowych zwyczajów. Wypicie wody bardziej jeszcze wyrażało ten szacunek, ale było także aktem sporej odwagi.

Jeszcze jeden taki gest kiedyś opisałem, dodając głęboką interpretację w stylu: „Co Papież przez to chciał powiedzieć?”. Pokiwał z niej książd Dziwisz, więc spytałem samego Papieża. Chodziło o krótki postój papieskiego orszaku w drodze na lotnisko w jakiejś małej miejscowości w Togo, a może w Kamerunie. Ojciec Święty wyszedł z samochodu i odwiedził ubogą glinianą chatkę stojącą przy drodze. Miało to – w moim przekonaniu – wielką siłę znaku troski o najmniejszych, zwłaszcza że Papież wracał z rezydencji prezydenta. – Co Ojciec Święty chciał przez to powiedzieć? – spytałem. – Nic – odpowiedział Jan Paweł II – ja po prostu chciałem zobaczyć, jak w czymś takim można mieszkać.

Książd Andrzeja we Wschowej

Książka o Wschowej jest arcydziełem. Autor z benedyktyńską cierpliwością znalazł wszystko, co w literaturze pięknej od najdawniejszych czasów wiąże się z tą miejscowością. A ślady istnienia Wschowej pochodzą z roku 1136. Rys historyczny miasteczka, kiedyś ważnego miasta królewskiego, jego obecność w literaturze, wybitne postacie z nim związane. Wspomnienia m.in. Bronisława Geremka, którego ojciec był po wojnie we Wschowej starostą powiatowym. Bronisław uczył tam do szkoły. Wspomina m.in. „wspaniałego prefekta, czyli nauczyciela religii i opiekuna duchowego, przybyłszy ze Lwowa, którego odnalazłem potem w re-dakcji krakowskiego »Tygodnika Powszechnego«”. Wspominam tę książkę właśnie ze względu na ks. Andrzeja Bardeckiego. Można o jego powojennej obecności we Wschowej przeczytać w rozdziale „Inni wybitni ludzie związani ze Wschową i Ziemią Wschowską”. Miło znaleźć utrwalony ślad zmarłego przyjaciele i to w tak nobliwym kontekście.



Pod władzą książek
Andrzej Rostocki

Czarna dziura ekranu

Ojciec był niezwykłym zwolennikiem nowoczesności. Lubił klasyczne wieczne pióra i mechaniczne szwajcarskie zegarki. Wszystkie sprzęty, które pojawiały się w naszym domu, jemu własnie zawdzięczaliśmy. Kiedy myślę o nim z nieukrywana wdzięcznością, doskonale wiem, o czym piszę. To on kupił lodówkę – jedną z pierwszych w naszej małej miejscowości. Bardzo ją kochałem, gdyż wielokrotnie uratowała nas przed różnymi kłopotami zdrowotnymi.

Nie będę sadyistycznym higienistą i nie opowiem w szczegółach, na czym one polegały. Dodać tylko małą patriotyczną cegiełkę do historii socjalistycznego harcerstwa i wyznam, że pod moim cterpiącym z powodem zatruca nieświeżym mięsem zastępem (byłem jego nieszezęsnym dowódcą) zabrał się drażek obozowej latryny. Wina trudno oczywiście obarczać poprzedni system (specjalizuje się w tym premier Jarosław Kaczyński), gdyż skazani na wielogodzinną nudę śpiewaliśmy patriotyczne piosenki, weselo przy tym podskakując. Socjalistyczne drewno sosny, nie bacząc na nasze zaangażowanie, nie wytrzymało i w tak brutalny sposób stałem się gorącym zwolennikiem lodówkowego chłodu, skutecznie powstrzymującego rozwój bakterii.

Rewolucyjnym przełomem było jednak dopiero pojawienie się telewizora. Dokończyła się to, jak zwykle wtedy, przed świętami. Ich smutną i szczególną cechą były statki z pomarańczami stojące na redzie. Kupowanie telewizorów miało oddalić dziecięcą rozpacz, przybliżając historyczny moment spotkania z południowymi owocami. Na ekranie były one w zasięgu wzroku, mimo że statki ledwie majaczyły w porannej morskiej mgie.

Nasz ogromny telewizor, przywieziony aż z Warszawy (a mieszkał obok Naktę nad Notecią, sławno już wtedy ze swojego I Liceum im. Bolesława Krzywoustego – niedawno ukończył je słynny pianista Rafał Blechacz), zajmował wprawdzie wielką część pokoju, ale miał za to aż siedemnaście stociałowy ekran. Technologiczna przepaść dzieliła go od czterostociałowych górników, na których nawet Władysław Gomułka wyglądał jak karzełek. Na naszym ekranie towarzyszył Wiesław miał zawsze imponującą posturę, a Waldemar Lysiak, mizdrząc się przed Ireną Dziedziwą „Tele Echu”, również był znacznie większy od Koszałka Opalka. Historycznym pasjonatem i obrońcą niezłomnego antykomunistycznego pisarza od razu powiem, że czarno-biały radziecki telewizor „Rubin” był równie wczesny, jak syberyjska łajba i wielkoruski nacjonalizm. I przetrwał do późnych lat 70. Jak widać nie tylko poeta pamięta!

Uważny czytelnik zapyta, skąd się wzięła ta nostalgiczna nuta w moich chłodnych, zwykle tekstach. Winnego łatwo wskazać, wypominając mu przy okazji jego młody wiek. Nie przeskoczył mu on jednak w

byłskotliwej rekonstrukcji czasów mego pierwszego spotkania z tajemniczym, wielomampowym pudełkiem, które wtedy miało być narzędziem społecznej edukacji i socjalistycznej indoktrynacji, a teraz jest najważniejszym, obok internetu, elementem kultury popularnej.

Winowajca nazywa się Mateusz Halawa, a jego świetnie i z niezwykłą kompetencją napisana książka nosi tytuł „Życie codzienne z telewizorem”. Inauguruje bardzo ciekawą i, dodajmy, niezwykłe potrzebną serię „Popkultura i media”. We wstępie profesor Wiesław Godzic zapowiada takie rarytasy wydawnicze, że nie pozostaje nam nic innego, tylko cierpliwie czekać, błagając wydawcę o pospiech.

Dziwne, ale oglądanie telewizji i sama telewizja jako medium pozostawały dotychczas na marginesie zainteresowań polskich medioznawców, kulturoznawców i socjologów. Nie chcę być niesprawiedliwy, ale prac Andrzeja Gwoźdźcia (i jego uczniów) Wiesława Godzica (i uczniów), Agnieszki Ogonowskiej, Mateusza Halawy i kilkunastu jeszcze badaczy parających się tą fascynującą problematyką i pisujących w kwartalniku „Kultura Popularna”, wydawanym przez Szkołę Wyższą Psychologii Społecznej, ciągle jeszcze nie można porównywać z kilkudziesięcioletnim dorobkiem uczonych zachodnich.

„Życie codzienne z telewizorem” to zapowiedź zmian w podejściu do społecznego procesu oglądania telewizji (tak właśnie, biorąc pod uwagę różne jego antropologiczne konteksty, traktuje problem autor). Telewizor w wielu domach stanowi centrum przestrzeni mieszkalnej, miejsce usłoneczone emocjonalnymi doznaniem i zwiarciałdo świata (Richard Rorty w tym przypadku z pewnością by się uśmiechnął). Niestety, jest także czarną dziurą, która, jak tajemnicze kosmiczne twory, pochłania wiarygodność, refleksyjność i samodzielność myślenia. Mówimy „telewizorem” i nim „myślimy”.

W większości rodzin wybór odpowiedniego programu jest wskaźnikiem sprawowania władzy, a pilot jej symbolem. Król miał berto, samiec lub samica alfa trzymają w ręce pilota. To dlatego w tak wielu domach spotyka się kilka telewizorów; wtedy nie trzeba, w sposób nieraz upokarzający, walczyć o mieszkopowany dostęp do ekranu. Telewizor jest także najlepszym lekiem na samotność, do niego się mówi, kiedy już nie ma do kogo. Albo toczy się otwarte polemiki, pukając, poprzez szklany ekran, polityków w coraz głośniejsze czoła.

Niewiele osób ma odwagę zmierzyć się z czasem bezczynnie, smakując nudę i trwoniąc nie patrząc na czarna, martwą dżurę ekranu, zapowiadającą nicosć. Przecież wystarczy kliknąć, by świat znowu ruszył z miejsca.

Mateusz Halawa, „Życie codzienne z telewizorem”, Warszawa 2006, Wydawnictwa Akademickie i Profesjonalne.